

Waleria Szydłowska-Brykczyńska

Uciekać, ale dokąd? O "Popiele i diamencie" Jerzego Andrzejewskiego

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 26-27, 79-85

1991-1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Waleria Szydłowska-Brykczyńska

UCIEKAĆ, ALE DOKĄD?
(O *POPIELE I DIAMENCIE* JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO)

Problematyka egzystencjalna w powieści Andrzejewskiego pojawia się wraz z zawiązaniem wątku Maćka Chełmickiego: życie postrzegane jako ciągłość wojennych doświadczeń wkracza w czas nieciągły; nowe zdarzenia wyznaczają los, który dopiero ma się spełnić.

Akowcy nie strzelają już do Niemców, ale nie mogą przerwać walki. Andrzej Kossecki, przyjaciel Maćka i jego nowy dowódca, w rozmowie ze swym przełożonym rozpytuje o cel dalszych działań partyzantki. Nie dać się rozstrzelać komunistom to jedno, lecz obranej strategii Waga nie łączy z pragnieniem samoobrony. Niektóre z jego racji mają charakter polityczny, inne – ważniejsze – moralny. Trzeba bowiem położyć na szalę wartość ludzkiego życia, choćby to było życie komunisty. Przeważać może jedynie sens ofiar, poniesionych w latach okupacji przez całą młodzież podziemia. „Ilu z nas zginęło? Za co? Wreszcie my, tacy ludzie jak pan czy ja, żywi i jeszcze na swobodzie, w jaki sposób możemy zaświadczyc swą solidarność z naszymi towarzyszami?”(s. 97)¹. Najistotniejsze argumenty Wagi sięgają w przeszłość, raz jeszcze wskazując, że wizja życia tych, co je zachowali, przypomina jedną oś zdarzeń, ułożonych chronologicznie w świecie ludzkiej pamięci.

Andrzej uznaje to rozumowanie, choć nie czuje się przekonany. Polega na autorytecie Wagi i na własnym honorze. Brak subordynacji oznacza dezercję, ta zaś podszyta jest strachem – „Nie jestem inteligentny. Chcę być uczciwy, to wszystko”(s. 98). Andrzej odrzuca wahania, aby nie stracić szacunku do samego siebie.

Przejrzysta opozycja postaw Kosseckiego i Chełmickiego polega na różnicy pomiędzy esencjalnym a egzystencjalnym pojmowaniem człowieczeństwa. Problem Andrzeja streszcza się w pytaniu: kim być? i wymaga restrykcyjnej koncepcji wolności. Jednostka, wierna swym zasadom, musi wypełniać cele, jakie dobrowolnie na siebie przyjęła, ale które wytyczyły granice jej działania. Wolność

oznacza wiedzę o tym, co konieczne, by ideał uczciwości, sumienia i lojalności wobec innych nie został zaprzepaszczoney. Treść życia ludzkiego tłumaczy się bowiem wprost na te pojęcia.

U źródeł tej postawy leży przeświadczenie, że człowiek może i powinien dążyć do jednolitego, moralnie spójnego kształtu swej osobowości, w którym wyrazi ideał bytu ludzkiego. Że zatem istnieje obiektywnie model istoty człowieka, jak istnieje wzorzec miary metra w Sèvres. Definicję najtrafniej oddaje negacja – z całą pewnością wiadomo, co nie należy do atrybutów esencji. W ten sposób bogactwo ludzkich zachowań, pragnień, aspiracji zostaje zredukowane – wielki ich zakres leży poza sferą owego wzorca. Wątpienie jest przywilejem, z którego człowiek prawy rezygnuje w imię obowiązku.

Maciek nie przyjmuje imperatywu takiego myślenia. Czuje się wolny wobec świata, wolny do życia, pełnego niespełnionych możliwości. „Dzisiaj” nie brzmi echem dnia wczorajszego i można je swobodnie kształtować. Każdy kolejny czyn wymaga nowej motywacji, nowej pasji, porywającej do działania. Egzystencja nie jest egzaminem z wiedzy o powinnościach, ale uczeniem się wartości bycia. „Ja” żyje chwilą i staje się szczęśliwe, jeśli ta chwila jest piękna. Aby trwać, trzeba wierzyć, że wiele takich chwil będzie jeszcze dane, choćby bolesna świadomość zła dodawała im szczyptę goryczy.

Dysputa, stara jak czasy nowożytne, przypomina spór humanistów ze scholastykami. Floretyńczyk Pico della Mirandola wzywał już do porzucenia nauki moralnej, dla której istota, dzieło Stwórcy, jest obiektywnym prawodawcą. Jedyнным atrybutem człowieczeństwa była dlań wolność i egzystencjalne samookreślenie, człowiek – efektem swych wyborów.

W egzystencjalistycznej perspektywie nie to, kim się staję, ale to, jak istnieję, rozstrzyga o mojej tożsamości. Jeśli znam cenę swojego czasu, nie pozwolę, by mi go wykradziono. Maciek nie potrzebuje weryfikacji swych dążeń w obliczu ideałów. Nie uznaje konieczności wyrzeczenia, ponieważ nie wierzy w jedyną prawdę o człowieku. „Gdybym wiedział, kim autentycznie jestem, to nie byłbym sobą”². Pojmowanie esencji wymaga historycznego dystansu; terażniejszość nie zna swej istoty.

„Prawdziwa wielkoduszność wobec przyszłości polega na ofiarowaniu wszystkiego terażniejszości”, pisał Albert Camus w *Człowieku zbuntowanym*³. Postawa Maćka Chełmickiego jest jeszcze jednym wcieleniem egzystencjalnego protestu przeciw absurdowi życia, jeszcze jednym syzyfowym zmaganiem ze skalnym głazem losu, jeszcze jedną prometejską wędrówką ze zbawczym ogniem w dłoniach. Maciek nie poddaje się wyabstrahowanym wskazówkom i sądom, odmawiającym nadziei. Za bardzo kocha życie i zapach kwitnienia, by przyjąć na wiarę nieodwołalną klęskę zbiega, brak prawa do powrotu. Nawet jeśli przypuszcza, że przegra, musi spróbować zwyciężyć swój kamień. Dopóki sił, by oprzeć się

niemo akceptowanym regułem, prawom historii, wymaganiom otoczenia, Maciek będzie walczył o swą samoistność.

„Kimże ty jesteś? Powiedziałeś, że się zmieniłeś. Przedwczoraj byłeś innym człowiekiem. Za tydzień możesz być jeszcze kimś innym. Któremu sobie chcesz być wierny?” (s. 385). Dla Andrzeja postawa przyjaciela oznacza schizofreniczny brak samookreślenia, paraliż zdolności introspekcji. Ale Maciek nie potrzebuje szukać logicznych powiązań między wcześniejszym i obecnym *ja*, wielość stanów jego umysłu jest bowiem w zgodzie ze strumieniem egzystencji. W rozumowaniu Kosseckeigo alternatywą budowanej świadomości istoty może być tylko jałowość, nicość jaźni. Ale dla egzystencjalizmu jest nią splot, przepływ kolejnych etapów istoczenia się bytu, który, póki trwa, nie da się zamknąć w definicję.

Czas ludzki płynie inaczej, niż czas przyrody, albowiem jest usensowniony przez proces kształtowania esencji *ego*, niezbieżny z zewnętrznymi dziejami świata. Faza chronologicznie późniejsza może się okazać przeszłością wobec wcześniejszych dokonań autokreacji, przeszłość zaś – pojawiać się na horyzoncie jako cel tego procesu. Zontologizowane koło hermeneutyczne oznacza, że, wkraczając w nie w dowolnym punkcie czasu, możemy wybierać swoją przyszłość lub przeszłość. „Samorozumienie egzystencji jest jak fala – zbliża się do siebie i oddala. Ten ruch rozumienia dokonuje się właśnie ze względu na to, że bycie, Dasein, ma przyszłościowy charakter. Ów moment egzystencjalny, który nazwailiśmy rozumieniem, możliwy jest dzięki temu, że Dasein współkonstytuowane jest przez przyszłość”⁴. Zatem nasza jaźń, gdy nie zna swej istoty, nie przypomina rozbitej na kawałki amfory, z której nie uda się odczytać wyrytego rysunku, ale jest wybieganiem myśli ku nieuchwytnemu w żadnej dokonanej formie, czystemu byciu.

Byt ludzki wraca jednak do siebie jako do już istniejącego, a więc wywiezionego z przeszłości. Ten powrót to odwrotne wychylenie wahadła myśli, wybiegającej do przodu, ku projektowi rozumienia bycia. „Przeszłość jest zatem drugą stroną przyszłości Dasein”⁵. Ale nie jest nią zbiór zdarzeń minionych, lecz jedna z form istnienia *ja*, świadomego, że jest. Tymczasem w swej egzystencji autentycznej Dasein jest współczesnością. Heideggerowska analiza bytu ludzkiego wskazuje, że nie tylko moralne, ale także ontologiczne uprzywilejowanie tego, co teraz, zwraca nam prawdę o istocie, której nie mamy, ale którą jesteśmy. Maciek ma rację, życie jest tylko jedno. Nie ma starego i nie ma nowego (s. 396). Ale dlatego właśnie, że jest jedyne i niepowtarzalne, nie wolno go zredukować do imperatywu wierności wobec czasu przeszłego. Tym bardziej, że ten czas, jeśli nie przeżywamy go od nowa w akcie projektowania siebie ku przyszłości, jest niczym.

Maciek i Andrzej postępują tak, jakby stali na dwóch biegunach myśli filozoficznej, Kossecki z nostalgią do tomistycznej scholastyki, Chełmicki z doświadczeniem myślenia postesencjalnego, które upada wraz z naturalizmem w sztuce i

neopozytywizmem w matematyce. Gdy nie jesteśmy pewni istnienia realnego de-sygnatu liczby pięć, jak możemy postulować niezachwianą substancjalność podmiotu?

Świat platońskich idei i arystotelesowskich istot wymaga zbyt wiele od kruchej ludzkiej trzciny. A być może wszystko to jedynie konstrukcje języka, podszepnięte przez złego ducha, który nas zwodzi? Epistemologiczna pomyłka zawsze jest prawdopodobna, czy warto więc dla wiedzy wątpliwej zabijać innych i skazywać siebie na zagładę? Czyny ostateczne wymagają uzasadnienia, którego nie obali korekta doboru aksjomatów. Chodzi przecież o życie, jedyną pewność błędzącego umysłu. „W imię czego mam tego człowieka zabić? I innych zabijać? Ciągłe zabijać. W imię czego?”(s. 384). Bez jednoznacznej odpowiedzi Maciek absolutnie nie powinien wypełniać rozkazu. Za tę jedną lukę w myśleniu i własnym działaniu będzie musiał zginąć.

I jeszcze za to, że jest winien czyjejś śmierci. Przecież nie działał w obronie własnej i mógł tamto życie oszczędzić. Maciek jest buntownikiem zhańbionym krwią, o sercu ofiary, ale sumieniu kąt. „Bezsens i przypadkowość tej zbrodni czyniły ją jeszcze potworniejszą. Nie znajdował w sobie innego żadnego usprawiedliwienia. Wszystko przemawiało przeciw niemu.”(s. 395). Zbrodniarz, który sam nie wierzy, że zabił słusznie, nie może powołać się na żadną wartość, łagodzącą tą winę. Jest bezradny wobec sądu moralnego.

„Nieszczęsny umysł woli od cierpień ograniczonego losu mroczną egzaltację, w której ziemia i niebo wzajemnie się unicestwiają”⁶. Egzystencjalistyczne rozważania służą naprawę jednemu celowi – odpowiedzeniu zabłąkanej jednostce sensu jej istnienia. Dla Martina Heideggera jest nim szukanie otwartości bycia, ontologicznej prazasady, mówiącej poprzez jaźń. Człowiek, zwierzę metafizyczne, odnosi się do świata jako całości, i ta współobecność jednostkowej świadomości i ogółu bytu ma rangę aksjologicznego ideału. Dla Alberta Camusa świat, w którym się rozpoznajemy, nie jest rzeczywistością *in toto*, lecz przestrzenią współegzystencji wielu indywidualuów, komunią losu człowieka i reszty ludzi.

„Gdybym był drzewem pomiędzy drzewami, kotem pomiędzy zwierzętami, życie miałoby sens albo raczej ten problem nie miałby sensu, byłbym bowiem częścią świata. Byłbym tym światem, któremu przeciwstawiam się teraz całą moją świadomością i całym moim żądaniem bliskości”⁷. Absurd, charakteryzujący relację: ja – świat, nie dotyczy rzeczywistości przedmiotowej; jego epistemologiczna proveniencja odnosi się jedynie do kontaktu jednostki ze zbiorowością bytów myślących. Bez innych nie byłoby piekła, nie byłoby też absurdu. Ale w takim razie człowiek nie wyszedłby poza zmysłowe percepcje, nie zdobyłby pełni świadomości. Tymczasem dar myślenia staje się zarazem koniecznością transcendowania poza siebie, choćby nasza podmiotowość była bez okien. Dopiero w relacji ja – ty człowiek myśli siebie na poziomie apercpepcji. Ale jednocześnie jego potrzeba poznania napotyka na mur nieadekwatności wobec prawdy innych istnień.

Toteż postawa wobec bliźnich musi wynikać z woli przewyciężenia pierwotnej bariery komunikacji. Wówczas staje się buntem przeciwko otchłani absurdu, wołaniem o braterstwo apercpepcji.

Absurd, jak kartezjańskie wątpienie, unieważnia sądy o świecie, którego pierwotną obcość potwierdza każda próba racjonalizacji; zmusza do wyrzeczenia się ocen, skoro tracą one logiczną spójność. A jednak – sama egzystencja jest manifestacją naszych sądów; wartościować świat ujemnie – to zabić się, wartościować go dodatnio – to w świecie być.

Rozumowanie absurdałne uznaje życie za wyłączne dobro konieczne. Chodzi bowiem o to, by trwać w męczącej konfrontacji wątpiącego ja i milczącej rzeczywistości. Istnienie daje jedyną szansę takiego spotkania; śmierć jest jego negacją. Wartość w ten sposób powołana nie ogranicza się do sfery moralnej – jest ontologiczną konstytucją człowieka.

Konflikt, w jaki Maciek popada, ma u źródła wiarę, że życie, choćby okrutne, pełne grozy i trwóg, warte jest ocalenia. Kondycja partyzanta wymaga całkowitego pogodzenia się ze śmiercią, samobójczej gotowości do rozstania ze światem. Chełmicki wie o tym, ale nie chce się na to zgodzić. Wojna, w którą wplątało ich wszystkich obecne fatum, uciszała refleksję, ale „to było co innego”(s. 384). Trzeba było ginać. „Jeszcze mało?”(s. 382). Lecz skoro bombardowania ustały i akt kapitulacji obwieszczono *urbi et orbi*, to „jak długo mamy tak żyć?”; „To beznadziejne wszystko (s. 382). Bunt wobec zabijania, strzelania, ucieczek jest najczystszy protestem przeciw absurdowi egzystencji i osobnym tryumfem nad zamilczanym wokół złem.

Wolność, z której poczyna się dążenie do krytyki wszelkich imperatywów, rodzi szczegółowe akty wyboru, czyny ludzkie. Pograżeni w monotonii codziennych zdarzeń, nie uświadamiamy sobie jej znaczenia. Ale nasza egzystencja autentyczna, przebudzona z przypadkowej bierności, rozszczepia widmo decyzji i poddaje je weryfikacji. Historia Maćka pozwala prześledzić promień świadomości, załamany na krawędzi sytuacji granicznej.

Dopóki nie zjawia się uczucie, Maciek potrafi uśpić pasję wolności. Nie egzystuje, trwa w nieautentyczności swego bytu. Ale przypadkowe spotkanie, impuls bliskości drugiej osoby, sprawia, że jego przytomność powraca. „Nie ma wolności poza byciem sobą,⁸; jednym poruszeniem ducha człowiek odzyskuje metafizyczną swobodę i siebie całego zarazem.

„Pochylił się nad Krystyną i wolno, bardzo delikatnie, jakby się bał zmacić spokój i ciszę, całować począł jej włosy, skronie, policzki. Żadnej dziewczyny do tej pory w ten sposób nie całował. Nie przypuszczał nawet, że można tak całować. I nagle doznał dziwnego wrażenia, że w tych pocałunkach, we własnych wargach, które pragnął uczynić lżejszymi od powietrza, odnajduje w ciemnościach nie tylko Krystynę, lecz i siebie samego.”(s. 302).

Absurd istnienia pryska w nastroju euforii, umysł wychodzi z zamknięcia. Naocznie i niezaprzeczałnie istnieje ktoś, z kim mogą osiągnąć najwyższą jed-

ność, absolutną komunikację. Niezależny od chwiejności rozumowania, Maciek ostatecznie przestaje być więźniem przeszłości. Nie potrzebuje zapośredniczać w niej swego kontaktu ze światem; harmonia uścisku wystarcza, by wyjść poza granice podmiotowej obcości. Więź tych dwojga unieważnia wszelką inną próbę integracji z otoczeniem.

Perspektywa „komunikacji egzystencjalnej [...] wyprowadza z samotności, ale nie ku ludzkości czy społeczeństwu, lecz ku drugiej niepowtarzalnej jednostce”⁹. Dzięki miłosnej empatii bycie staje się oczywistością i wymazuje ślady wątpienia. Uczucie nie pojmuje antynomii, ono jest immanencją jaźni.

„Zabić. To słowo po raz pierwszy zabrzmiało w nim groźnie i niepokojąco. Tyle razy zabijał. To było tak proste. Życie i śmierć toczyły się obok. Ginęli wrogowie, ginęli przyjaciele. Życie jednych i drugich wisało nad stromą otchłanią. Śmierć jednych i drugich rozpyłyła się jak dym.”(s. 311). Ale „ta godzina, którą przeżył jak jedną krótką chwilę, zdawała się spoczywać poza całym jego życiem, oderwana od wszystkiego, co było i co miało być.”(s. 309).

Tym, czym dla idącego na szubienicę jest realność jego sznurówki, tym dla rozbitka historii będzie prawdziwe doświadczenie miłości. Cała wieczność streszcza się naraz w jednym spojrzeniu, w jednym westchnieniu, w jednym wygładzie. Nie można pojąć, że za sekundę buty zostaną bez nóg, które je nosiły, pocałunki bez ust, które całowały.

Teraz najważniejsze to żyć, bez wielkości i bez bohaterstwa. „Świadomość i bunt to odmowa i przeciwieństwo rezygnacji.”¹⁰ Maciek zdobywa skromność determinacji¹¹, gdy mówi do Andrzeja: „Chcę prostego, zwyczajnego życia, tylko tyle, niczego więcej. Musisz to zrozumieć.” (s. 383).

Dlaczego zatem ta egzystencja jest chybiona? Maciek, oskarżony o dezercję i zdradę, nie może ustrzec się zbrodni. Na rozkaz i za namową przyjaciela podąża tropem hotelowego sąsiada. Cmentarz wypełnia tłum celebrycy właśnie pogrzeb dwóch innych ofiar Maćka. Między alejami nagrobków zaczyna wątpić w miłość, jedyny ratunek wędrowca bez kompasu. „Targnęło nim przejmujące zdumienie. Jak się to stało, że w ciągu dwóch nocy mógł bez wstrząsu przerażenia trzymać w ramionach ciało Krystyny? [...] Nawet w chwilach niepokoju, w który tyle razy w ciągu ostatnich dni popadał, nie wydała mu się Krystyna tak odległa i nieosiągalna, jak odległa i nieosiągalna stała się teraz.” (s. 395–6). Zatem uczucie, które zawładnęło nim bez reszty, okazać się miało jeszcze jednym epizodem zapomnienia, wytchnienia od walki, jedynej prawdziwej treści życia? Honor, solidarność żołnierska wracały jak echo cudzych słów z dna powziętego wcześniej sprzeciwu, by raz jeszcze przypomnieć, że los tych ludzi otaczał dwustronny mur; jeden – wojennej zawieruchy, drugi – obowiązku, by polec. Andrzej, odjeżdżający z powrotem w las, przyjął dawno tę prawdę, nie umykając śmierci.

Po dokonaniu zamachu Maciek próbował jeszcze wrócić do życia. Spokojnie wymeldował się z hotelu. Z Krystyną był umówiony na dworcu. Podjął decyzję, że razem z nią wyjedzie. Spieszył się już na to spotkanie. Ale czy wierzył, że za-

mknął za sobą wieko przemocy i nie będzie musiał ponieść kary? Czy był gotów przyjąć szczęście i całą niewinność miłości? „Nigdzie nie mogę odnaleźć źródła, które stanowiłoby początek mojej odpowiedzialności.”¹²

„Ponieważ wiem, że jestem wolny, uznaję swą winę. Odpowiadam za to, co uczyniłem. A ponieważ wiem, co uczyniłem, biorę to na siebie”¹³. Maciek, biegący wąskimi uliczkami, czujnie wymijający wojskowe patrole, nagle traci wiarę w życie. Rzuca się do biegu, nie ufając swej gwieździe. Ta ucieczka jest samobójczym skokiem.

Lecz ów desperacki krok nie wynika z nihilistycznej postawy. Świat staje się dla Maćka obojętny, ale dlatego, że coś nie było mu obojętne na tym świecie. Kto tak ginie, jest przekonany, że wszystko zniszczy, wszystko zabierze ze sobą, lecz z samej jego śmierci rodzi się wartość, która mogłaby nadać sens istnieniu.

„Żył jeszcze. Oczy miał otwarte, lecz już umykające w głąb, mgłą zasnutę.
– Człowieku! [...] – Człowieku, po coś uciekał?”(s. 430)

Przypisy

¹ J. Andrzejewski, *Popiół i diament*, Warszawa 1982; numery stron podaję bezpośrednio w tekście artykułu według tego wydania.

² K. Jaspers, *Filozofia egzystencji*, Wybór pism, Warszawa 1990, s. 107.

³ A. Camus, *Człowiek zbuntowany*. Tłum. J. Guze, Kraków 1991, s. 282. Tekst we własnym tłumaczeniu lokalizuję wg tego wydania.

⁴ K. Michalski, *Heidegger i filozofia współczesna*, Warszawa 1978, s. 139.

⁵ Tamże, s. 140.

⁶ A. Camus, *Człowiek zbuntowany*, op.cit., s. 11.

⁷ A. Camus, *Mit Syzyfa w: Eseje*, Warszawa 1974, s. 135.

⁸ K. Jaspers, *Filozofia egzystencji*, op.cit., s. 183.

⁹ K. Jaspers, *Philosophie*, t. 2, cyt za: R. Rudziński, *Jaspers*, Warszawa 1978, s. 101.

¹⁰ A. Camus, *Mit Syzyfa*, op.cit., s. 138.

¹¹ „W najpotężniejszych egzystencjach wyczuwa się tę skromność, która [...] nie tworzy żadnego obrazu, żadnego widocznego znaku swojej istoty. K. Jaspers, *Filozofia egzystencji*, op.cit., s. 107.

¹² Tamże, s. 189.

¹³ Tamże.